

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

GRACE

Sfora była kompletnie zdezorientowana. Wcześniej mój wilk wysyłał mi obrazy. Dziwne, ale chłopak, który biegł za nami, robił to samo. Teraz żaden z nich nie przekazywał mi informacji i sama musiałam przegrupować zwierzęta najlepiej, jak potrafiłam. Ale ja nie byłam przywódcą. Dopiero co sama nauczyłam się być wilkiem. To on musiał je zgromadzić i prowadzić. Ale jego rozpaczliwe myśli huczały tak głośno w mojej głowie, że nie było w niej już miejsca na nic innego. „Beck, Beck, Beck”. Zrozumiałam, że to było imię pierwszego wilka, który poległ. Mój wilk chciał wrócić do tamtego porzuconego ciała, a ja nagle zobaczyłam obrazy, które mi przekazał. Beck był zmasakrowany. Odszedł.

Grzmiąca maszyna, czarna na tle nieba, znowu zbliżała się do nas z ogłuszającym rykiem. To był opanowany drapieżnik. Nie śpieszył się.

Gorączkowo przestałam mojemu wilkowi obraz sfory uspokajającej się pod naszym prowadzeniem, uciekającej, by schronić się pośród drzew. Przez cały czas krążyłam wokół wilków, które znajdowały się najbliżej mnie, popędzając je, żeby biegły dalej, popychając je w stronę bezpiecznego miejsca. Kiedy mój wilk przybiegł do mnie, jego przekaz stanowił tak naprawdę zlepek widoków i dźwięków, których nie potrafiłam zinterpretować. Wyłapywałam jeden obraz na sto. Nie miały sensu, gdy próbowałam je połączyć. A w górze nadlatywał potwór.

Za pomocą zmysłu powonienia odebrałam nagłą rozproszoną myśl. „Cole. Shelby”.

I może z powodu siły tej myśli, a może dlatego, że słońce ogrzewało mnie i poczułam w sobie cień kogoś innego, kto kiedyś żył we mnie, zrozumiałam, o kogo chodzi.

Zerknęłam przez ramię, nadal na wpół biegnąc, robiąc bokami, żeby nie utracić pędu. A tam rzeczywiście byli Cole i Shelby, zwarci w walce, której zaciekłość i dzikość zapierały dech w piersi. Byli za daleko, żebym mogła wyraźnie ich zobaczyć, ale akurat pokonaliśmy pochyłość terenu i kiedy czarne stworzenie z rykiem przecięło powietrze za nimi, już nic nie blokowało mi widoku.

Rozległa się seria trzasków, ledwie słyszalna w huku maszyny, a potem Shelby wypuściła Cole'a ze śmiertelnego uścisku.

Odkoczył od niej, a ona zaczęła się miotać w agonii. Zanim padła, zwróciła ku mnie zmasakrowaną głowę.

Helikopter obniżył lot.

Sekundę później Cole też padł na ziemię.